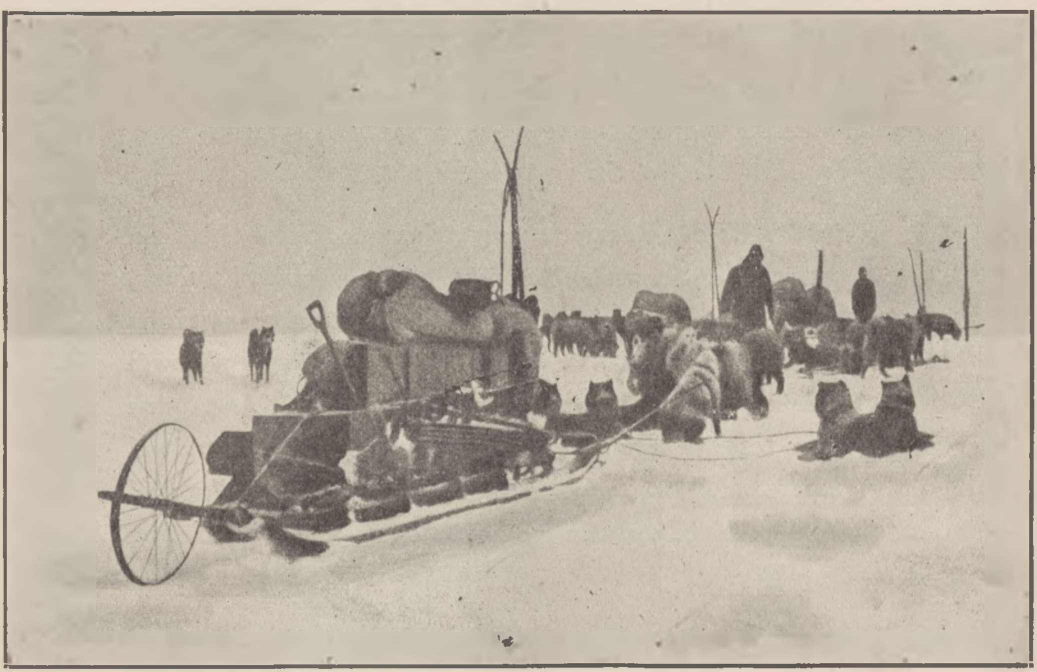
Rok VI. Nr. 8.

HARCERZ

WYPRAWA AMUNDSEN'A DO BIEGUNA POŁUDNIOWEGO W 1911 R.



Niedawno Roald Amundsen, zdobywca bieguna południowego, wyruszył na nową wyprawę. Tym razem północny, a nie południowy biegun jest celem, i podróżnikom służyć będą, zamiast psów i sani, samoloty.

Podróż ta rozpocznie nowy okres w historji wypraw podbiegunowych.

W następnych numerach „Harcerza“ znajdą czytelnicy opis dziejów tych wypraw.

Uchwały V Zjazdu Walnego Związku Harcerstwa Polskiego

W SPRAWIE

Loterji Fantowej na Budowę Związkowej Stanicy Harcerskiej

V Zjazd Walny Z.H.P., obradujący we Lwowie dn. 17—18 kwietnia 1925 r., powziął następujące uchwały w sprawie loterji na budowę Związkowej Stanicy:

1. **Zjazd Walny Z.H.P. wzywa wszystkich harcerzy i harcerki, a w szczególności instruktorki i instruktorów harcerskich, członków Kół Przyjaciół, Kół starszego Harcerstwa, ażeby dla powodzenia loterji zdwoili swe wysiłki i spełnili swój obowiązek wobec Związku przez rozsprzedaż wszystkich biletów loterji i wysłanie natychmiast całkowitej gotówki za sprzedane losy, gdyż dopiero rozsprzedaż całkowitej ilości 100.000 biletów da poważny dochód na budowę Stanicy.**

2. **Zjazd Walny wzywa Zarządy Oddziałów do skupienia w najbliższym czasie całej energji w celu rozsprzedania losów loteryjnych na stanicę.**

Centrala Loterji mieści się w lokalu C. K. D. H. Warszawa, Traugutta 2. Bilety nabywać można we wszystkich drużynach, - - - - - - komendach i instytucjach harcerskich. - - - - - -

KONTO CZEKOWE P.K.O. 9606.

④ H A R C E R Z

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

ROK VI. 30 KWIETNIA 1925. Nr. 8.

PRAWO RYCERSKIE.

Bądź zawsze gotów, nie składaj broni, chyba gdy idziesz na nocny spoczynek.

Broń biednych i pomagaj tym, którzy sami bronić się nie mogą.

Nie czyń niczego, coby urażało, lub krzywdziło bliźnich.

Bądź gotów do walki w obronie Ojczyzny.

Nad czemkolwiek pracujesz, uczciwością zdobywaj cześć i sławę.

Nigdy nie łam danego przyrzeczenia.

Gdy trzeba, daj życie za cześć twej Ojczyzny.

Raczej umrzyj uczciwy, niżbyś miał żyć okryty hańbą.

Rycerskość wymaga, aby młodzież uczyła się pełnić najcięższą i najniższą służbę chętnie i z uśmiechem i czynić dobrze bliźnim.

V. HARCERZ POSTĘPUJE PO RYCERSKU.

*
* *

Trzy cechy wyróżniały prawdziwego rycerza: honor, uprzejmość, męstwo. Łączyły się one ze sobą nierozerwalnie, stwarzając całość doskonałą, nie mogącą obyć się bez jednej z tych cech.

Rycerz życie całe spędzał w ciągłej walce. A walcząc spotykał ludzi najrozmaitszych, a przecież postępował z nimi tak samo: po rycersku. Wobec ciężkich niebezpieczeństw i potężnych zapaśników stawał nieustraszenie i to dlań zaszczytem. Ale większym jeszcze zaszczytem i dumą była ludzkość i uprzejmość zarówno wobec potężnych i mocarnych, jak wobec słabych i zwyciężonych.

Czyż dzisiaj inne czasy?

Czy dlatego, że zmieniły się formy życia społecznego, że różne są dzisiaj warunki gospodarcze, że stosunki polityczne bardziej się zróżnicowały— mniejsza jest wartość człowieka?

Wszak dzisiaj my wszyscy rycerzami jesteśmy. I dzisiaj mamy wciąż walkę przed sobą — walkę ze złem i słabością, z lenistwem i brakiem odwagi.

Trudniejsza dzisiejsza rycerskość od tej dawnej. Dziś wnieść musimy w życie całego narodu i całej ludzkości to, co każdy z nas w głębi ducha uznaje, w co wierzy—ale co nie stało się jeszcze regułą, powszechnie obowiązującą:

Zawsze i wszędzie przed ludźmi i przed samym sobą każdy z nas i każda z nas jest tylko cząstką wielkiej całości narodu. Cześć narodu — jest moją czcią, i moja cześć jest cząstką tamtej wielkiej wartości. Dlatego nie wolno mi być głuchym na to, co całego narodu dotyczy, dlatego nie wolno mi kalać siebie, bo w ten sposób zaprzepaszczam tę cząstkę składową wielkiej czci narodu.

Na tej zasadzie opierać się winno i będzie postępowanie każdej jednostki.

Dlatego słabszym przychodzić z pomocą muszę, dlatego uprzejmość i przy świadkach i bez świadków zawsze mnie obowiązuje, bo przy świadkach odrazu oceniać będą w moim czynie mój naród, a bez nich zawsze czuwać będzie moje sumienie, które, jak sprawiedliwy sędzia, natychmiast oceni mój czyn i powie, czy jestem rycerzem nieskalanym, czy zbrukałem swą szatę, pomniejszając nie moją wartość tylko.

Te zasady zawsze trzeba wcielać w czyn. I nie czekać na wielkie jakieś wydarzenia, nie na „chwilę osobliwą".

Każdy dzień, każda godzina niesie nam tę zwykłą walkę, w której rycerskość swą hartować i podnosić trzeba.

Walki w życiu napewno nam nie zbraknie. I tej z bronią w ręku zapewne: Ale i dziś jak dobrze, ah, jak dobrze można ocenić rycerstwo harcerza przy zwykłej grze w piłkę nożną, czy szczypiórniaka!

Spotkacie tam chłopców, którzy będą chyłkiem korzystali z nieuczciwych wybiegów, będą i tacy, którzy po pierwszej przegranej odejdą zniechęceni, inni zaczną wykorzystywać brutalnie siłę swoich mięśni, inni po porażce będą się doszukiwali nieuczciwości po stronie przeciwnika, albo, jako zwycięzcy zatruwać będą życie zwyciężonym hymnami na cześć własną.

Jak się wyróżni wśród tej gromady chłopiec, który, po przegranej z życz-

liwym uśmiechem powinszuje zwycięstwa przeciwnikom, lub zwyciężywszy szczerze uściśnie dłoń zawstydzonym porażką. Takimi stać się muszą wszyscy.

I wszyscy muszą przyzwyczaić się do męstwa w postępowaniu i do zawsze i wszędzie i bezwględnie wszystkich obowiązującej zasady uprzejmości.

Przecież rycerz był uprzejmy wobec kobiet, bo czcił w nich własną matkę i siostrę, którym się należy szacunek. Piękne reguły w tym względzie podają harcerze Francuzi, słynni z uprzejmości: „Rozmawiając z kobietą, odkryj zawsze głowę". „Jeśli się zwraca do was kobieta z zapytaniem, odkryjcie głowę przed odpowiedzią". „Jeżeli przy stole kobieta podaje ci cokolwiek: np. cukier, szklankę herbaty etc. powstań przy otrzymywaniu tego, co ci podaje", i wiele innych. Ta uprzejmość obowiązuje też wobec kolegów i starszych, może w różnych stopniach, ale obowiązuje zawsze.

Te zasady drzemią w nas, są w nas— ale ich stosowanie nie jest powszechne. A winno być powszechne. Sprawdźcie więc wasze zachowanie wobec starszych, wobec kobiet, rówieśników, kolegów i wprowadzajcie „rycerski obyczaj".

Bo każdy jest stróżem czci narodu i każdego cześć jest cząstką czci ogólnej. Więc czuwać nad nią jest obowiązkiem wszystkich.

SZLACHETNA SZLACHTA.

Społeczeństwo nasze — a może nietylko nasze — zachowuje się tak wobec Harcerstwa, jak wobec żołędzia ziemia, która przyjmuje go do swego łona, otacza opieką, pozwala mu się rozwinąć, karmi jego kiełek, ale nie wie, że z niego wyrośnie olbrzymi dąb. Gdyby narody ucywilizowane liczyły epoki swych dziejów nie od wielkich bitew, zbrodni i gwałtów, ale od tych dat, kiedy nad ich życiem zabłysnęły nagle wspaniałe gwiazdy, oświetlające ciemną i krętą jego drogę, z pewnością uznałyby, że narodzenie się idei wydobywania z duszy człowieka najszlachetniejszych pierwiastków i ozdabianie niemi jego charakteru jest zdarzeniem daleko ważniejszem, niż zwycięstwo pod Jeną lub wynalezienie broni odtylcowej. Przez cały ciąg historji przesunął się długi, z rozmaitych ogniw złożony, łańcuch pomysłów, pragnących uczuciom, dążeniom i czynom ludzkim nadać postacie i kierunki idealne. Ale były to marzenia oderwane od rzeczywistości, które tworzyły ducha, ale nie mogły w niej znaleść dla niego ciała. Przebywały jako świetliste cienie w krainie utopji i nie schodziły na ziemię. Ludzkość jednak, chociaż przyzwyczajona do swych brudnych szat, zbrukanych w egoizmie i poszarpanych w brutalnej walce o byt, nie przestała pragnąć wdziania czystych do stałego użycia, w które przystrajała się tylko odświętnie. Dobywając korzyści z upadku i występków, tęskniła ciągle do cnót osobistych i obywatelskich, do przetworzenia się „na obraz i podobieństwo" ideałów, które były przedmiotami jej czci, ale nie były wcieleniami jej życia.

To pragnienie odezwało się w Polsce może jeszcze silniej, niż w innych narodach. Bo przecie ona upadła i dostała się w niewolę przez zanik energji moralnej. Nie brakło jej geniuszów, ale brakło mocnych charakterów. Los powiedział jej

wyraźnie, że tylko te ostatnie mogą jej zapewnić trwałe i szczęśliwe istnienie. Jak gdyby dla spełnienia tego wyroku narodziło się w niej Harcerstwo. Jego katechizm jest dziś najważniejszym między przykazaniami kultury ludzkiej. Sejm czteroletni podjął myśl uszlachetnienia całego narodu. Był to w zasadzie i w ówczesnych warunkach zamiar piękny. Ale nie był takim, a tem bardziej nie mógłby być dziś urzeczywistniony według dawnych, przestarzałych form tego żywiołu. Wszystkie społeczeństwa we wszystkich okresach swego rozwoju tworzyły szlachtę, dobór ludzi najlepszych. Miary jednak ich doskonałości zmieniały się ciągle w związku z postępem pojęć. Dzisiejsza szlachta nie może już być ani eupatrydami Grecji, ani patrycjuszami Rzymu, ani panami feudalnymi Wieków średnich, ani „urodzonymi" dawnej Polski. Szlachta tegoczesna jest warstwą ludzi moralnie czystych, społecznie czynnych, narodowo ofiarnych, charakterów prawych, energicznych, zdrowych, niezatrutych samolubstwem, umysłów niezmordowanie czynnych, twórczych, płodnych. Prawidłowością i potrzebą ich życia i działania jest mnożyć dobro i pożytek. Tego uczy Harcerstwo, ta heroldja i szkoła nowoczesnej szlachty polskiej. Patrząc na nią, złożoną z pokoleń młodych, starsze cieszą się nadzieją szczęścia i odrodzenia narodu, a jednocześnie żałują, że ich własna młodość nie przypadła na czas siewu i wzrostu tych idej, z których rozwija się nowa, piękna Polska. Od nas idzie ku nim błogosławieństwo z westchnieniem: czemu my już nie możemy być nimi.

Aleksander Świętochowski.

Do dobrych i wielkich Przyjaciół „Harcerza" p.p. Juljana Ejsmonda, Jana Grabowskiego, dr. Aleksandra Mogilnickiego, Antoniego Ossendowskiego, dr. Gustawa Simona.

Za stosunek serdecznej przyjaźni i jego objaw — pracę dla nas tak cenną, składamy podziękowanie.

Naprawdę — potężną wyrośnie młodzież, której potężne dusze podawać będą cenny pokarm.

Więc czy może nie być ogromną wdzięczność nas, którzy w poczuciu odpowiedzialności za rozwój duchowych skarbów młodzieży pragnęlibyśmy dać jej to, co największe, najlepsze, najbardziej górne!

Redakcja.

ANTONI OSSENDOWSKI.

MOJA PIERWSZA WYPRAWA.

Miałem siedem lat, gdy wakacje spędzałem w małej mieścinie Żwaniec nad Dniestrem. Błąkałem się po polach i zawzięcie polowałem na przepiórki... z procą gumową, bez żadnej szkody dla ptaszków, a ku wielkiemu swemu zmartwieniu; łapałem na wędkę kiełbie i małe sumy; z tratew wskakiwałem w wartki prąd Dniestru, naturalnie—pokryjomu od rodziców i marzyłem o przygodach.

Marzenia te nie były wcale mgliste, owszem — miałem ułożony plan. Naprzeciwko miasteczka, po tamtej stronie Dniestru, wznosiła się góra, uwieńczona ruinami starej twierdzy. Był to Chocim, a o tem, jak się tu zmagali z Turkami polscy rycerze, jak tu gdzieś na harce wyjeżdżał prawdopodobnie sam pan Michał Wołodyjowski, a gdzie tę ziemię tratował szlachetnemi kopytami rumak przesławnego Jana Sobieskiego, o tem nieraz opowiadała mi Mamusia.

Musiałem więc dotknąć tej ziemi, musiałem zbliska się przyjrzeć tym starym murom, co tyle dawnych dziejów widziały. Pociągał mnie ku sobie Chocim, a wołania jego były potężne, jak jego mury, co wieki przetrwały.

Pewnej niedzieli w Żwańcu był odpust i jarmark, a z tego powodu przez Dniestr chodził prom. Dostać się na przeciwległy brzeg nie było więc rzeczą trudną.

Skorzystawszy z tego, że rodzice wyjechali do Kamieńca Podolskiego, namówiłem dwóch swoich przyjaciół: Józka Wyszyńskiego i Staszka Ejsmonda, aby się wybrali razem ze mną do Chocima. Wyszyński miał wtedy lat dziewięć, Ejsmond był o dwa lata starszy.

Jemu to zawdzięczam swoje pierwsze, radosne wrażenia badacza, a wdzięczność dla niego przechowałem do dnia dzisiejszego, gdy to już siwizna coraz mocniej przyprósza mi włosy. Ejsmond, który bywał w Tatrach, wiedział, co trzeba ze sobą brać na wyprawy, a więc sznury, latarkę i długie, cienkie kije, które wyrąbaliśmy sobie w gaiku leszczynowym.

Obładowani pękiem mocnego sznura, latarnią i naszemi laskami, przepłynęliśmy szczęśliwie Dniestr na promie i, skręciwszy od drogi na prawo, zaczęliśmy się wspinać na spadki pagórka, gdzie stała twierdza. Wkrótce ogarnęły nas popękane i poniszczone mury, ze wzruszającemi nas strzelnicami i wieżyczkami strażniczemi. Wszędzie było dużo rumowisk, kup cegły, zwałów kamieni, wysokich chwastów, twardej, ostrej trawy i szarego piołunu. Świergotały, śmigając nad nami, zaniepokojone jaskółki, obawiające się o swoje gniazda, przyczepione do gzymsów murów. W straszliwym popłochu rozpierzchła się gromadka czarnych myszy polnych.

Szliśmy dalej przez wielki dziedziniec forteczny, aż nagle dostrzegliśmy wąski otwór studni, otoczonej potężnemi, zielonemi od pleśni głazami. Zajrzeliśmy do czeluści. Ciemność zupełna panowała w głębi. Rzuciliśmy do studni duży kamień. Przez kilka chwil nic nie słyszeliśmy, aż doszedł nas wreszcie daleki, głuchy plusk wody.

— Straszliwie głęboka studnia! — zauważył Stach.

— W takich to zawsze smoki się gnieżdżą...—szepnął trochę drżącym głosem Józiek.

Coś mi drgnęło w piersi. Zajrzałem do głębi raz jeszcze, namyśliłem się przez chwilę i, patrząc na przyjaciół, rzekłem:

— A żeby tak poszukać tego smoka?...

— Trzeba byłoby się spuścić na linie — odpowiedział Ejsmond.

— No, to spuśćcie mnie... zaproponowałem.

Zapanowało długie milczenie.

— Sznur mamy — odezwał się Ejsmond. Długi jest i mocny. .

Znowu umilkliśmy.

— A nie boisz się?—wzruszonym głosem zapytał Ejsmond.

— Nie! — odparłem, ale właśnie wtedy uczułem strach, który ścisnął mi serce.

To „nie" było jednak wyrokiem dla mnie. Po chwili już obwiązano mnie sznurem, do pasa przymocowano zapaloną latarkę, do rąk dano duży składany nóż, świeżo nabyty przez Wyszyńskiego na jarmarku.

Siadłem na zrębie i opuściłem nogi do czeluści.

— Zaczynaj! — zawołał Stach.

— Zaczynaj... — powtórzył jak echo Wyszyński.

Ześlizgnąłem się ze zrębu i zawisłem nad nieznaną tajemniczą głębią. Przekręciłem się parę razy dokoła własnej osi i omal nie stłukłem latarki, więc począłem manewrować rękoma i, trzymając się ocembrowania, zacząłem powoli się opuszczać. Wkrótce, gdy podniosłem twarz do góry, ujrzałem nad sobą otwór, a nad nim bardzo ciemne, prawie granatowe niebo.

Lęk ogarniał mnie coraz bardziej. Nieznana głębia dyszała na mnie chłodem, stęchlizną i wilgocią. Ściany studni były zimne i śliskie.

Nagle kamienie ocembrowania znikły. Moje ręce trafiły w pustą przęstrzań. Skierowałem tam latarkę i zrozumiałem, że było to wejście do podziemnej galerlji — okrągły prawidłowej formy otwór, a za nim początek murowanego sklepienia.

— Jeżeli ma być smok, to chyba tylko tu! — pomyślałem i, trochę się rozkołysawszy na linie, dotknąłem nogami gruntu galerji. Krzyknąwszy kolegom, aby dali mi więcej sznura, wślizgnąłem się do podziemia. Zatrzymałem się, nadsłuchując... Cisza... postąpiłem parę kroków, świecąc latarką i trzymając nóż w pogotowiu. Z cienkiem cykaniem zerwało się kilka nietoperzy, załopotała skrzydłami spłoszona sowa... Spadła mi na nos kropla zimnej wody, sączącej się przez sklepienie. Drgnąłem... lecz trzeba było iść dalej... Uderzyłem nogą o coś twardego i potknąłem się. Zniżyłem latarnię i ujrzałem szkielet ludzki i zardzewiałe łańcuchy, zwisające ze ściany. Włosy poruszyły mi się na głowie z przerażenia, lecz po chwili przypomniało mi się jakieś opowiadanie o jeńcach, przykutych do ścian ciemnicy.

— Pewno szkielet takiego nieboraka widzę przed sobą—pomyślałem sobie i świeciłem dalej. Nagle krzyknąłem z radości, gdyż ujrzałem leżącą na ziemi krzywą szablę turecką. Podniosłem ją i zatknąłem za pas, lecz odpadł od niej kawałak zardzewiałej klingi.

O kilka kroków dalej zaczęły się kałuże wody, zwaliska i gruzy, więc postanowiłem wracać.

Z trudem wciągnęli mnie moi chłopcy, aż ręce do krwi namozolili. W wielkiej tajemnicy powróciliśmy do Żwańca i tu puściliśmy na los znalezioną szablę. Dostała się ona Józkowi Wyszyńskiemu.

Szczęśliwy był to chłopak, ale gadatliwy i języka za zębami trzymać nie umiał. Wypaplał o całej wyprawie w domu, a tegoż wieczora ojciec zawołał mnie do osobnego pokoju i zapytał:

— Toś ty, urwisie, do studni łaził i szperał po podziemiach?

— Byłem tam, Tatusiu... bąknąłem nieśmiało.

Dostałem w skórę dla porządku, że to w sekrecie od rodziców i bez ich zezwolenia na takie się wypuszczam wyprawy.

Szablę turecką oddano do Towarzystwa archeologicznego, które zaczęło robić poszukiwania w Chocimiu, a jeden z archeologów, tłusty, rudy Popowicz—nauczyciel historji rosyjskiej, dostał za tę pracę order.

Gdy się o tem dowiedziałem, pomyślałem z goryczą i smętkiem w duszy:

— Moskal na polskiej ziemi szperał i dostał za to order, a ja—Polak za takież szperanie—w skórę. Gdzież tu sprawiedliwość?

A tej krzywej szabli do dziś odżałować nie mogę!...

Z ŻYCIA SKAUTÓW.

Mój wywiad z wiceprzewodniczącym Z. H. P., zapowiadany w jednym z poprzednich numerów, udał mi się nadspodziewanie i to nie przy biurku, lecz — na wozie, a prawie i pod wozem. Oto paru nietyle „możnych“, bo dziury mają w kieszeni, ile „ważnych” dygnitarzy naszych „kręcących się” koło Głównej Kwatery wraz z wiceprzewodniczącym wybrało się na zwiedzanie terenu na obozy letnie. Gdzie nie posiejesz—wyrośnie reporter, tak i ja, ni przypiął, ni przyłatał, przyczepiłem się do tych druhów.

Skorzystałem jeszcze i tyle, że mogłem zobaczyć drużyny suwalskie i to aż cztery. Hufcuje im druh porucznik Skwarnicki, stara gwardja harcerska przedwojennego autoramentu, instrukcyjny oficer przysposobienia wojskowego. Cóż, kiedy bodaj wszystkie drużyny, które widzieliśmy w Suwałkach — nie mają drużynowych. Dobrzy to chłopcy, ci suwalszczanie i pełni zapału, ale strasznie brak im inicjatywy. Na zbiórkach umieli nam pokazać trochę musztry, gry — i to dosyć już oklepane i przez wszystkich znane, umieli nieźle zaśpiewać. Toteż tak wypadło, że zamiast harcerzy suwalskich, produkował się słynny w kraju i zagranicą Mahomet, organizując gry, pokazując na poczekaniu, jak uczyć spostrzegawczości i wyrabiać pamięć wzrokową. „Harcerz“ tam nie dotarł do nich, proszę redaktora, aby go tymczasem posłał za darmo na okaz. (*Jest w Suwałkach 2 (dwóch) prenumeratorów. Red.*)

Niedobrze też i to jest, że są tam harcerze już po roku i dwóch w drużynie — i nie mają jeszcze stopnia młodzika, wogóle harcerzy z krzyżami widzi się rzadko, jak rodzynki w placku, robionym przez skąpą gospodynię.

Boję się, że moi nowi znajomi z Suwałk za złe mi wezmą te szczere o nich słowa — jeżeli tak się stanie, byłbym bardzo zasmucony, bo toby świadczyło, że kiepskim są materjałem na harcerzy, jeśli ich „prawda w oczy kole”. Prawda o kimś powiedziana w braterskiem gronie, a takiem jest koło czytelników „Harcerza”, jest jednym z największych podarunków, jakie sobie ludzie dać mogą — i to takim,

że i danie go, a zwłaszcza przyjęcie podnosi obie strony.

Widziałem w oczach Waszych, chłopcy z Suwałk, iskry zapału; serca biły Wam zgodnie miłością Ojczyzny, gdy śpiewaliśmy Mazurka Dąbrowskiego i Rotę; wylegliście zastępami przedstawicielskiemi drużyn na stację żegnać nas, choć późno w noc wyjechaliśmy — więc i Ojczyźnie służyć chcecie i władzom Waszym czujecie się bliskimi. Jest nastrój, są chęci, jest możność pracy — więc i praca będzie, a gdy za rok się zobaczymy, drużyny staną o przeglądów w plecakach i z laskami, wyjdziemy w pole i tam pokażecie nam, jak tropić, sygnalizować, podchodzić umiecie, jak pływać, wiosłować, polować na wieloryba. Trzeba tylko skorzystać z lata, wybrać się na kursy i obozy, pozyskać sobie starszych przyjaciół, którym ułatwicie poznanie Harcerstwa, aby mogli zostać stalymi opiekunami drużyn, a może i drużynowymi.

A to, co mówię o Suwałkach, celuje w wiele, wiele innych środowisk...

...Ale zagadałem się o Suwałkach, a gdzie wywiad, pytacie. Jest!

...Więc wybraliśmy się nad jezioro Wigry, a kiedy w ciemną noc krętemi dróżkami leśnemi wracaliśmy przez puszczę do Suwałk, prowadzeni przez migotliwe światełka świecy Mahometa, który niósł przed nami ten „oświaty kaganiec", aby nie wjechać na bezdroża — rozmawiałem z wiceprzewodniczącym.

—Pytacie, druhu,—mówił — o najaktualniejsze sprawy naszej roboty wewnętrznej. Jest ich sporo—i w tem trudność, że dużego sztabuby trzeba, aby w krótkim czasie można było się zabrać do ich porządnego rozwiązania, a wyniki—na nie trzeba czekać latami.

Ogół drużyn musi wykazać więcej życia, zainteresowania, ruchu. Przed wojną, w konspiracji nieraz sama młodzież pracowała, rady drużyny bez drużynowych rządziły drużynami i niejeden przykład daćby można, że rządziły nieźle. Dziś, gdzie niema drużynowego — drużyna upada. Drużyny muszą się zacząć żywiej ruszać, czytać „Harcerza", „Skauta", „Czuj Ducha", wykorzystywać pomysły—żyć, tworzyć. Czy to nie skandal, że na 40.000 młodzieży 700 numerów „Harcerza" tylko się rozchodzi stale! Drużyny uprawiają wkółko to samo, zniechęcają się zwłaszcza inteligentniejsi, aż tak bywa, że na 8 członków zastępu 2 przychodzi na zbiórki. Harcerz nie jest bobusiem, który czeka, aż go niania-drużynowy na spacerek wyprowadzi. Są książki, podręczniki, zwłaszcza technicznemi warto się zająć: Wyrobka „Vademecum", Glassa „Książeczka Harcerza" — to kopalnia pomysłów, zajęć, ćwiczeń, które można uprawiać bez piastowania przez drużynowych. Ogłosiliśmy „miesiąc Prawa", — ciągle słyszę, że są drużyny, które o tem nie mają zielonego pojęcia. Sam widziałem — dodaję — na ścianie wisi wypisane hasło miesiąca: „Harcerz w każdym widzi bliźniego...", a zapytany o nie zastępowy wytrzeszcza oczy, jakby z księżyca spadł.

— Tak, druhu redaktorze, — spostrzegawczością nie grzeszymy zbytnio! A jeśli „Harcmistrz" wzywa nas „wyżej, głębiej, żywiej" — to jabym wołał do całej młodzieży: żywiej, żywiej, żywiej.

Niema czasu, ani minuty do stracenia—mówił dalej druh Sedlaczek—mamy dokoła i wewnątrz Ojczyzny potężnych wrogów, musimy się ćwiczyć, organizować, skupiać, musimy największym wysiłkiem, na jaki nas stać, zwiększać majątek Polski materjalny i dorobek kulturalny. Pokolenie naszych dziadów walczyło o Polskę niepodległą — myśmy Ją ujrzeli — ojcowie dzisiejszych harcerzy budują w trudzie i znoju podwaliny pod wielkość mocarstwową Rzeczypospolitej.

Na Was, na harcerzy dzisiejszych w drużynach, jutro harcerzy w stanicach—na stanowiskach społecznych i państwowych patrzy cała Polska — i ta dzisiejsza — i wczorajsza Polska Ojców naszych, co odeszli na wieczną wartę.

Jej zdacie rachunek!

Redaktor od życia.

* * *

Trzeba nie tylko chcieć, ale i umieć pracować.

Czytajcie i rozpowszechniajcie wydawnictwa Ligi Pracy; do nabycia w Centralnej Komisji Dostaw Z. H. P. Warszawa, Traugutta 2.

Dwieście pięćdziesiąt kilometrów łodzią.

(Ze wspomnień plutonu morskiego I Drużyny Harcerskiej we Władywostoku).

Dawno marzyliśmy o długiej wycieczce, sprzykszyło się nam jeździć w pobliżu Władywostoku w zatoce Amurskiej, Złoty Róg lub w Bosforze Wschodnim. Chcieliśmy zwiedzić coś nowego, jeszcze nam nieznanego, gdzie nasza „Korona“ jeszcze nie była. Układaliśmy najrozmaitrze plany co do wykonania takiej podróży na łodzi. Było jeszcze wcześnie, więc żegluga nie była rozpoczęta. Był tylko początek wiosny, było jeszcze chłodno. Czas jednak prędko leci: przeszła wiosna, przyszły ciepłe dnie, pogoda ustaliła się. „Morskie wilki“ korzystali już z wakacyj.

Pierwsze dni lipcowe. Jednego takiego dnia stała nasza „Korona“ w zatoce Złoty Róg u przystani Floty Ochotniczej. Pogoda słoneczna, dął silny południowo-zachodni wiatr, zwiastun nadciągających silnych wiatrów. Zwykle te wiatry przynoszą ze sobą morskie burze lub, jak tam nazywają, „tajfuny“. Zatoka silnie wzburzona. Wielkie fale podnoszą się, toczą się jedna na drugą i ze wściekłością biją o granitowe brzegi przystani, jak gdyby chciały swem mocnem uderzeniem poruszyć ją z miejsca. Niestety! Stoi nieporuszona, nie chce dać miejsca rozbujanym falom. Zrozumiawszy swoją niemoc, zwracają się do nowej ofiary, do stojącej „Korony“. Chwytają ją, podnoszą i chcą z całej swej mocy trzasnąć nią o tę granitową, niezłomną przeszkodę. I tu przeszkoda—niezmordowany „wilk morski“ oparty długim hakiem o brzeg, obala ich próżne wysiłki, jedyną pociechą których jest, że chociaż on został wymoczony do niteczki. Na przystani koło łodzi wielki ruch: „wilki morskie“ znoszą wiosła, maszt, ster, żagiel, pasy ratownicze, no i żywność, bo ruszamy na dłużej. Różnobarwny tłum, zebrany około nas, patrzy na wszystko z wielkiem zdziwieniem. Są tu Chińczycy, koreańczycy, a najwięcej Rosjan. Ci ostatni zawsze źle usposobieni do Polaków, z rozmowy między nimi słyszymy dolatujące nas słowa: „A kuda jeto Polaki sobralisia, cztoby im nie wiernutsia!“, albo: „Smotri, smotri z Bogom jedut, budto by pomożet“. Przyzwyczailiśmy się do tego, a oni zazdrościli nam, że mieliśmy taką piękną i mocną łódź, wiedzieli, że zawsze była pierwszą, czy pod żaglem, czy na wiosłach. Nigdy nas nikt nie mógł wyprzedzić. Wiele mieliśmy wyścigów, z których wychodziliśmy zwycięsko, zawsze górował polski sztandar. Jak tylko zagrzmi komenda: „Chłopcy mocniej!“, „Korona” już pędzi, jak torpeda tnąca powierzchnię morza i zostawiająca za sobą długi ślad. Nareszcie nasza praca została skończoną, łódź nałado-

wana, czas ruszać. Wiatr nie uspokajał się, dął coraz mocniej. Nie przestraszyło to nas, bo łódź pod wpływem ładunku siedziała głębiej, mocniej, no i załoga była zahartowana. Słońce już zniżało się ku zachodowi.

—Siadaj!—pada komenda. Sześciu „wilków“ usadowiło się na swych miejscach. Łódź odepchnięto. „Wiosła“...—znów komenda naszego kapitana—„naprzód!”—„Korona“ dźwignęła się, prując swym dziobem nalatujące fale, które to podnoszą jej dziób, to znów opuszczą, niekiedy przelatując przez burtę i zalewając środek łodzi. Ominąwszy przylądek Czurkin, i Egierszałd weszliśmy do Bosforu Wschodniego. Odczuwamy mocniejszy wiatr i fale większe już z morza Japońskiego. Coraz częściej, rozbijające się o kadłub łodzi, fale zalewają nas. Od czasu do czasu słyszymy okrzyk kapitana: „Mocniej chłopcy!“ Po dwugodzinnem wiosłowaniu dotarliśmy do latarni morskiej Łarjonowo. Zmieniony kierunek jazdy pozwolił nam podnieść żagiel, przez co „Korona“ popędziła z lekkością jaskółki z silnie nadętym żaglem, chyląc się, przeskakując z grzbietu jednej fali na drugą. Potęga wiatru rosła, wydmuchując z wodnej otchłani nieskończone łańcuchy wysokich fal. Olbrzymie bałwany o skrzelistych, załamanych, białych grzbietach przewracały się wśród pluskania z boku na bok, bijąc o łódź, która pruła bez żalu te olbrzymie bałwany. Czujemy, iż Amurska zatoka zaczyna okazywać swą krwiożerczość, bo łódź naszą rozbałwanione morze rzucało, jak szczapkę, jak gdyby zabawiało się nią, aby potem pochłonąć do swej pieniącej się otchłani. Nagle wiatr przestał dąć... w okamgnieniu trzepoczący się żagiel niespodziewanym wichrem nadął się znów, silnie nachyliła się łódź, koniec już nabrał wody, a łódź.... coś pękło..... Zimna krew ratuje sytuację. O mało nie przypłaciliśmy życiem, a był to jak gdyby ostatni wysiłek żywiołu, który zaczął cichnąć. Dzień już był na schyłku. Nad morzem zachodziło słońce, zostawiając po sobie na zachodzie krwawe łuny.

(c. d. n.)

„Wilk morski”.

LIST DO ŁOMŻY.

GAWĘDA NA ODLEGŁOŚĆ.

Dzień jeden spędziłam z Wami Druhny i Druhowie — dzień jasny, słoneczny.

— Słoneczny, bo słońce tak cudnie świeciło — jasny — bo tak wesoło zaczynaliśmy rok nowy.

Początek pracy ma to do siebie, że pogodnie się w przyszłość patrzy, dobre zamiary nasze wydają się nam takie bardzo bliskie i takie pewne do urzeczywistnienia; dopiero później czegoś dziwnie bledną i odsuwają się od nas, słońce nieraz zgaśnie, sił czasem zabraknie, wiatr nieraz w oczy zadmie — i wtedy tak jakoś codziennie — szaro na duszy się robi.

Dla zaczerpnięcia sił na tę szarość codzienną roku całego był nam dany jasny, słoneczny dzień „dobrego poczynania“. Mówię „nam“ bo i ja tam byłam.

Kiedy wymawiam słowo „Łomża“ — widzę zalaną słońcem polanę, widzę w słońcu most na stawie z kijów harcerskich i desek zrobiony,

NA ANGIELSKIEJ ZIEMI.

H. I. — i tu.

ODJAZD.

Czy możecie sobie wyobrazić radość osoby poważnej — proszę się nie śmiać, — poważnej, chociaż mam dopiero 16 lat, zahartowanej w pracy harcerskiej, obytej już trochę z podróżami, nietylko w krótkich wycieczkach z zastępem, ale też w obozach letnich, osoby, mającej wyruszyć w daleki, daleki świat, — na międzynarodowy zlot harcerek (one wprawdzie gdzieindziej nazywają się skautkami, ale przecież ładniejsza nasza nazwa) do Anglji.

Jestem z góry przekonana, że nie potrafi sobie nikt wyobrazić tej radości, tego natłoku myśli, które, zda się, rozpierają serce, głowę, opanowują człowieka tak, że o tem tylko myśli, o tem marzy, tą podróżą żyje.

Słyszałam wprawdzie dużo o Anglji, w ostatnich miesiącach przed wyjazdem naczytałam się trochę książek, a jednak wiem, że to, co zobaczę da mi tysiąckroć więcej wiadomości, niż dotychczasowa nauka, nawet ta specjalna, z myślą o wyjeździe do tej naprawdę Wielkiej Brytanji.

Ale mam też trochę strachu.

Nie myślcie, że przed podróżą morską, nie przed falami morza, które wszystko mogą pochłonąć. Ta obawa nie trapi mię wcale. Ale boję się przedewszystkiem mojej nieznajomości języka. Wprawdzie nauczyłam się go, pracowałam nad nim, jak tylko harcerka potrafi i to na kilka tygodni przed spotkaniem z Angielkami, a jednak czuję doskonale, że ta moja angielszczyzna, eh, pożal się Boże, szkoda mówić. Jeszcze z francuskim łatwiej byłoby, niema tam tylu trudności z wymową, ale w angielskim — straszne rzeczy, co innego piszą, co innego mówią. Już z tego jednego rysu można posądzić Anglików i, kto wie, czy nie słusznie o nieszczerość. No, powiedzcie mi, czy to ładnie inaczej myśleć, a inaczej pisać.

Więc boję się. Bo ja mogę nic nie powiedzieć, ale już to, co powiem, będzie świętą prawdą. Stanę więc przed podwójnem niebezpieczeństwem: nie będę rozumiała, co do mnie mówią i nie potrafię tak mówić, jak w Anglji mają zwyczaj.

Gdyby nie prawo harcerskie, które każe lekceważyć niebezpieczeństwa, gotowabym się rozpłakać (naturalnie, o ileby nikt nie widział).

Ale trudno — powiedziałam, że pojadę, więc jadę choćby nie wiem jakie groziło mi niebezpieczeństwo.

Pojadę tem bardziej, że przecież to rozkosznie poznawać nowe kraje, własnemi oczami na tyle wspaniałości, na te dzieła ducha ludzkiego, których tyle spotkamy po drugiej stronie kanału La Manche, patrzeć.

Wiem, że znacznie łatwiej poradzę sobie ja i my wszystkie harcerki z trudnością reprezentowania naszej ojczyzny przed obcemi druhnami. Przedewszystkiem wszystkie skautki są dla siebie siostrami, więc z siostrzaną wyrozumiałością odniosą się do naszych braków, o ile te wykażemy.

— Ale znów tak dużo tych braków chyba nie będzie — myślę sobie i przypominam nasze prace, przechodzę w pamięci to wszystko, co słyszałam o dorobku naszej organizacji. Ja niedużo wprawdzie wiem. Ale przecież jedziemy z druhną Olgą (takie jest imię wdowy po jednym z twórców Harcerstwa u nas ś. p. Andrzeju Małkowskim), a ona już dobrze zna całą historję Z.H.P.,

jego rozwój, jego najlepsze i te mniej dobre strony.

Odkąd uspokoiłam te moje duszne kłopoty, z całą pogodą i weselem myślałam o zbliżającej się podróży.

Naturalnie poświęciłam dużo czasu na przygotowania i wyekwipowanie, nietylko dlatego, że „jak cię widzą, tak cię piszą", ale przedewszystkiem dlatego, że lubię porządek, nie znoszę niedokładności, choćby najdrobniejszej, a dom pomagał mi ogromnie.

Kiedy więc przyszła pora ruszenia na stację — plecak mój wyglądał bardzo uroczyście, a walizka zamykała to wszystko, co harcerka jadąca między obcych mieć powinna.

Nie wiem, dlaczego, a jednak z poczuciem dumy kroczyłam do stopni dworca, z jakąś podświadomą radością, a zarazem powagą, powtarzając sobie w myśli: Na zlot — do Anglji. Oto ja, polska harcerka stanę wobec przedstawicielek różnych narodów i będę mówiła im o Polsce, nie tak wielkiej może, jak ojczyzna niejednej z nich, nie tak potężnej z pewnością, ale niewątpliwie równie, conajmniej równie kochanej, drogiej, jedynej.

— Czuwaj, zbudzili mnie.

— Czuwaj — odpowiedziałam z uśmiechem i oto już jestem w gromadce, bardzo mi bliskiej, a jednak, jednak dalekiej. Same „starsze" przed mojemi oczyma, a ja, prosta harcerka, po szeregu egzaminów, po uzyskaniu różnych „sprawności", nawet uzdolniona do prowadzenia zastępu, nie mogę się z temi równać, które we władzach okręgu, a nawet w Głównej Kwaterze Żeńskiej prym wiodą. Bardzo byłabym onieśmielona, gdybym się znalazła sama jedna wśród takich powag organizacji. Na szczęście mam towarzyszki.

Na szczęście też nie mam czasu na zastanawianie się nad stopniami, bo trzeba zająć miejsca w pociągu, tam siłą rzeczy będziemy równe. Zresztą — druhny instruktorki takie są uprzejme, takie miłe.

Pewnie nie ja jedna miałam te myśli nie ja jedna mało słyszałam, co do mnie mamusia mówiła. Ale czy to coś dziwnego? Jadę do Anglji, w towarzystwie najpoważniejszem, jakie ma nasza organizacja, a tu każą mi pamiętać o zaziębianiu się, o odpoczynkach, o regularnem jedzeniu.

Może i mamusie rozumiały to.

Bo mimo wszystko stają przed oknami naszego wagonu i w dalszym ciągu prowadzą swoje serdeczne, ale w tej chwili nie skutkujące napomnienia.

Wtem gwizdek, ruch w wagonie, trzaskanie drzwiami, ostatnie okrzyki z prośbą o listy, ostatnie pozdrowienia i z majestatyczną powagą, powoli, rusza pociąg.

Powiewam chusteczką i wychylam się jeszcze z okna, aby dojrzeć te kochane i kochające oczy, ten dobry serdeczny uśmiech.

Mamusia.

Za chwilę gwarno zrobiło się w naszym przedziale. Popłynęły pytania, odpowiedzie, naturalnie o Anglji, próbujemy swych sił w angielszczyźnie, ale wygodniej mówić po polsku tem bardziej, że tyle myśli ciśnie się do głowy, tem bardziej, że wśród naszch jedziemy pól, wśród rżysk złocistych, zatapiamy się w zieleni łąk, a im bardziej rwie naprzód pociąg, tem ciemniej robi się wokoło.

Witają nas światłami drobne stacje od czasu do czasu ogarnia nas gwar głosów ludzkich, witających krótki postój pociągu w jakiejś większej miejscowości.

Ale to gwar chwilowy — potem znów ciemności i turkot kół żelaznych i miarowy oddech maszyny, a wszystko to taki spokój rozsiewa — większy jeszcze niż głęboka noc.

(D. c. n.)

— O, pięknie doprawdy! — odrzekł rozmarzony Stefan — tak pięknie, żeby się tę, w zimowy bezwład zapadającą, ziemię całować chciało!

— A ty tę ziemię swoją kochasz — zapytał Stefan poważnie.

Tolek tym razem nie skrzywił ust kostycznie, jak zwykł był dotąd czynić na każdą bardziej uczuciową wzmiankę, lecz, patrząc wokół po swojem bezkresnem królestwie, szepnął jakoś pokornie prawie:

— Kocham ją panie — bardzo kocham!

— A czy wiesz, że taka miłość niesie z sobą obowiązki?.. Że kochając powinieneś nie tylko brać z tej ziemi uciechę i zadowolenie, ale dawać jej w zamian swój trud — swoją pracę?..

Tolek spojrzał zdumiony.

— Dość czasu będzie, gdy dorosnę i, jak ojciec, zacznę orać i siać i gderać i kląć na nieurodzaje...

— Nie, Tolku, już dziś ta ziemia do Ciebie woła o daninę jej należną. Już dziś powinieneś jej spłacać dług.

Tolek wyczerpany bieganiem po krzakach, rozmarzony przygrzewającem silnie o południu słońcem był dziś dziwnie podatny na słowa swego korepetytora.

— A cóż jabym mógł dziś dla tej ziemi zrobić? Gdyby była wojna — pewnie żebym uciekł i poszedł się bić — ale wojny niema.

— I poza wojną jest praca dla ziemi. Na całej polskiej ziemi żyje, rośnie i mężnieje liczna armja takich właśnie młodzieńczych pracowników — to harcerze. Słyszałeś o nich? Praca ich dla Polski — dla ziemi — to przedewszystkiem praca nad sobą samym. Każdy z tych zaprzysiężonych Polsce na śmierć i na życie pracowników uczy się, krztałci swój umysł, wyrabia siły, pielęgnuje zdrowie i spełnia dobre uczynki. Choć jeden w każdy dzień!..

— A jakiż jabym mógł dla Polski spełnić codziennie dobry uczynek? Dziadowi dać jałmużnę? lecz nie codzień dziad do nas dojdzie...

— Nie to, jałmużna sama — to zamało. A sposobności do uczynków dobrych pełno dookoła. Dziecko płaczące pocieszyć, starej kobiecie pomóc dźwigać ciężar nad siły, parobkowi opowiedzieć ciekawą, budującą historję, to wszystko praca dla Polski — harcerskie dobre uczynki... A przedewszystkiem praca nad sobą. Przykładanie się pilne do nauki. Gdy wykształcimy umysł, uszlachetnimy serce w młodości, to wyrośniemy na dzielnych, mądrych obywateli, dobrych synów i dzielnych obrońców Ojczyzny.

Witold słuchał i rozmyślał.

— To może i mnie trzeba zacząć tę pracę dla Polski?.. — szepnął sam do siebie i szedł dalej w milczeniu.

Stefan milczał również, a w duszy dźwięczała mu radość — brzmiało dziękczynne hosanna!

W popołudniowych godzinach przykładnie odbyła się lekcja.

Od tej pamiętnej rozmowy Tolek przycichł w sobie, spoważniał.

Stary pan Górski z rozrzewniającem żdziwieniem śledził zmianę w chłopaku, a pani wzruszała ramionami i kręciła arystokratycznym noskiem na przydługie rozmowy Tolka ze stajennymi chłopcami.

— Zdaje mi się mamo, żem dopiął wielkiej rzeczy, żem pozyskał dla idei naszej jedno oporne, ale gorące serce — pisał Stefan w liście do pani Burzyńskiej.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Mroźna, litewska zima ustroiła ziemię w Stołbiszkach w puchowe całuny, zakuła ją w lodowe obręcze.

Na tydzień przed wilją wyznaczono w Stołbiszkach wielkie, doroczne polowanie na dziki.

Tolek podniecony radośnie o 4-tej rano tego dnia obudził już Stefka.

O 7-mej na świtaniu zajechały przed dwór sanie i goście, przybyli dzień przedtem do dworu, gwarnie i wesoło zaczęli je zapełniać.

Chłopcy wraz z panem Górskim wsiedli do ostatnich.

— Cóż, Warszawiaku, rad jesteś, że jedziesz na łów? — pytał szlachcic dobrodusznie Stefka, klepiąc go przyjaźnie po ramieniu.

A Stefek w radosnem porozumieniu błysnął okiem ku Tolkowi i na dowód uciechy i ochoty z młodzieńczych piersi popłynął w mroźne powietrze bujny śpiew: *Pojedziemy na łów, na łów — towarzyszu mój!*

Stary pan Górski z rozrzewnieniem patrzał na radośnie zarumienione twarze i błyszczące oczekiwaniem oczy śpiewaków.

Mróz był tęgi, śnieg skrzypiał pod płozami, konie rwały, jak wicher. W niespełna pół godziny byli już pod lasem.

Kiedy Stefek stanął na wyznaczonem stanowisku pod wyniosłą sosną, wschodziło właśnie słońce. Blask jego promieni niezwykle jasnych, roziskrzył djamentowem lśnieniem puszysty śnieg na leżącej przed Stefkiem polanie, po której drugiej stronie stał ze strzelbą na ramieniu Tolek. Byli za daleko, by móc mówić, a krzyczeć nie było wolno, więc tylko na migi pokazywał Tolek, jak się cieszy i jak mu się chce widoku zwierzyny.

— Gdyby mnie tu mama widzieć mogła! — przebiegło przez myśl Stefkowi... i wyobraził sobie matki przelękłe oczy... — lepiej, że nie widzi!...

Wtem w lesie zagrała trąbka... Zwierz szedł... Stefek chwycił strzelbę: trzeba pokazać co harcerz umie... Z bijącem sercem, z ręką na cynglu stał, jak wrośnięty w ziemię... Trąbka odzywała się to tu — to tam, po lesie, ale na polanie cicho było i pusto...

Rozgoryczony widocznie Tolek strzelbę spuścił do nogi...

Nagle, z chrzęstem i rechtaniem na polanę wpadł ogromny dzik i biegł prosto na Tolka... Ten momentalnie strzelbę podniósł... zmierzył... wypalił — ale za gwałtownie to zrobił — strzał chybił... Przeszedł tylko koło strasznego ryja i drasnął go... Pociekła posoka barwiąc niepokalany śnieg, a rozwścieczony olbrzym ze skrwawionym, ku ziemi dla rozmachu pochylonym łbem, rwał prosto na Tolka... Chłopak wystrzelił powtórnie, lecz znowu chybił... drażniąc rozjuszone zwierzę ponownym hukiem... Nie tracąc przytomności odwrócił strzelbę i zmierzył się kolbą, by lunąć odyńca między oczy. Lecz zwierz, jakby ubiegając myśl ludzką podrzucił olbrzymim łbem równocześnie i strzelba wypadła z rąk pobladłego chłopca...

W tem zabrzmiał strzał...

To Stefan, widząc, co się dzieje, rzucił posterunek myśliwski i z oddalenia jakich pięciu kroków wypalił... Silne wzruszenia jednak, czy zbyt wielka bliskość celu sprawiły, że strzał przeniósł.

Zwierz jednak odwrócił się od Tolka i runął ku nowemu wrogowi...

Zanim Stefek miał czas zmierzyć raz drugi, dzik grzmotnął go powyżej kolan potężnym łbem... Chłopak padł, a rozjuszony zwierz zgniótł mu pierś ciężarem strasznego cielska... a kły straszliwe przez kożuch i kurtkę zagłębił w brzuch...

Na sygnał alarmowy Tolka nadbiegł pan Górski i kilku myśliwych. Któryś z nich celnym strzałem zwalił odyńca z nóg, a ten padając wyszarpnął jeszcze wgłębionym w ciało Stefana kłem straszliwą ranę — od jamy brzusznej, po krtań...

Gdy śmiertelnie rannego chłopca podnoszono z ziemi, napółprzytomny już szeptał zbielałemi wargami: musiałem — mamusiu — musiałem... Harcerz jest ofiarny... Spełniłem przykazanie...

KONIEC.

przez który odważnie wszyscy kroczymy i pogotowie harcerskie, które ludzi do swej łodzi łowić pragnie, widzę rozśpiewany długi pochód przez groblę i blaski słońca i gorejące w skrach miasto.

Wierzcie mi Druhowie i Druhny— ja sobie spory zapas słońca na cały rok od Was przywiozłam.

Ale przywiozłam i coś więcej jeszcze — garść spostrzeżeń. Tam u Was nie mogłam się z Wami niemi podzielić, bo czasu nie stało. Nieraz zbierałam się, aby do Was napisać, ale szare, codzienne dni biegły i w szufladzie leżały moje dobre zamiary.

A więc: co mi się najwięcej u was podobało?

Podobało mi się, żeście tam wszyscy Druhny i Druhowie razem byli — niby jakaś majówka Chodźki z księżmi, nauczycielami i jej młodzieńczy, przyjacielski nastrój.

Pamiętam wyborną jajecznicę, doskonałą sałatkę z pomidorów i bardzo dużo jabłek i gruszek.

Przypominam sobie, jakieśmy się snuli po lesie i na pomnik natrafili, o którym nikt nic dokładnego powiedzieć nie umiał.

Niema widocznie wśród harcerzy Łomżyńskich historycznych wywiadowców, którzy śledzą i podpatrują zabytki i zbierają przyczynki do historji swego miasta.

Ale przedewszystkiem muszę wam powiedzieć, czego się w Łomży nauczyłam, bo przecież jakąś naukę musiałam sobie od Was przywieść.

Nauczyłam się, że daleko łatwiej zdobyć krzyż i lilijkę, aniżeli być w życiu prawdziwym harcerzem.

„Kiedy wleziem między wrony, musim krakać jak i ony". Jak się znajdę między harcerzami, zaczynam także tropić, co się w duszach ludzkich dzieje. Tak samo uważnie i ostrożnie trzeba to robić, jak się szuka śladów na piasku—są to zjawiska równie nietrwałe i znikome.

Za chwilę czyjaś stopa ślad pokryje, wiatr go rozwieje... ale ślad się pamięta i po nim dusze ludzkie poznaje.

Zwijałyśmy obóz harcerek, gorączkowo robiono porządek. Obok mnie dwie małe dziewczynki z pośpiechem kończyły śniadanie. Podniosły się z ziemi, zarzuciły plecaki, a ja zauważyłam nieśmiało, że pozostały rozrzucone papiery, na to podniosły się na mnie słodkie, chabrowe oczęta i świeży, srebrny głosik twardo, a nieustępliwie powiedział: „to nie my rozrzuciłyśmy te papiery". I druhenki poszły, a papiery zostały.

Na moją słoneczność padł mały cień i pomyślałam sobie, że dużo pracy będzie musiała włożyć i drużynowa i zastępowa, aby z tej modrookiej dziewczynki zrobić prawdziwą Harcerkę i obudzić w tych oczach to, co w nich śpi i o czem mała dziewczynka nie wie, ale się napewno dowie, bo po to przyszła do harcerstwa, aby się dowiedzieć.

Wszyscy, wielcy i mali przeszliśmy przez most, wystawiony przez harcerzy na strudze, i nikt się nie skąpał i nikogo druhowie do swojej łodzi łowić nie potrzebowali. Drużyna egzamin zdała.

Długi, wesoły pochód rozciągnął sie na grobli. Piosenka leciała za piosenką. Pod miastem zakotłowało się na chwilę, nastąpiło przegrupowanie i chwilowe zamieszanie.

I w tem zamieszaniu usłyszałam głos twardy, świszczący, nabrzmiały gniewem i gotujący kłótnię, głos nieharcerski, który usłyszeć można na każdem podwórzu; głos, którym się sobie brutalnie miejsce w świecie robi.

I przyskoczył druh do druha z błyszczącemi gniewem oczyma, z zaciśniętemi pięściami—napadnięty roześmiał się w sobie serdecznym, harcerskim śmiechem — coś jasnego błysnęło mu w oczach, i — zabiło kłótnię.

Nie znam nazwisk obu harcerzy, ale tę twarz z jasnym wyrazem, pamiętam i twarz ta, obok słońca świeci w moich wspomnieniach z Łomży.

Nie wiem, może druhenka zapomniała i druh już nie pamięta... wiatr ślady rozwiał...

— A mnie obok słońca uśmiech harcerski złoci wspomnienie z Łomży.

...Czasami i uśmiech nie przepada.

Druhna Czajkowska.

CZY ATLANTYDA ISTNIAŁA?

Gdyby nieboszczyk Plato przewidział był, ile sprawi kłopotu ludzkości swym opisem Atlantydy, byłby napewno, jako człowiek naogół dość rozumy i przezorny, słówkiem jednem o niej nie wspomniał.

Ale stało się! Plato napisał, — i to nie jedno słówko, ale całe, długie opowiadanie: nie tyle o samej Atlantydzie — wyspie ogromnych rozmiarów, mającej się znajdować gdzieś na oceanie Atlantyckim, ile raczej o jej mieszkańcach, o ich życiu, urządzeniach społecznych, cywilizacji i t. d. Nie ulega wątpliwości, że opisy owe należy przenieść w dziedzinę fantazji; pewność jednak, z jaką Plato mówił o samej wyspie, zabiła niebylejakiego klina w głowy następnych pokoleń. Średniowiecze zwłaszcza, w tajemniczości i sensacji pewnej się lubujące, obrało sobie Atlantydę nieszczęsną za temat niezliczonych opowieści, pomysłów i domysłów i nie wątpiło bynajmniej w jej istnienie.

Nowsze z kolei wieki, pozytywizmem przepojone, opowiadania owe z drwinami odrzuciły.

Lecz rozwój nauk w XX wieku doprowadził do rezultatów wręcz nieoczekiwanych. Badania uczonych, doświadczenia przez nich dokonywane uczyniły znowu aktualnemi wzmianki Platona.

Okazało się naprzód, że wzmianki owe nie są bynajmniej jedynem źródłem wspomnień o Atlantydzie. Przeciwnie, u mieszkańców wybrzeży śródziemnomorskich, wśród rybaków, zamieszkujących zachodnie krańce półwyspu pirenejskiego, odnaleziono liczne bardzo legendy i opowiadania o jakiejś wielkiej ziemi, wśród oceanu, na zachód od nich leżącej! Podobne, choć mniej liczne i wyraźne ślady znaleziono w wierzeniach i mytach dawnych mieszkańców Ameryki.

Jeżeli te tradycje, przez rybaków pokoleniami przekazywane, zestawimy ze, znanemi już nam, wzmiankami greckiego filozofa, to staną się one wystarczającą podstawą do poważniejszego zastanowienia się nad możliwością istnienia niegdyś owej tajemniczej Atlantydy.

Nim jednak poznamy wyniki dociekań naukowych, przypuśćmy na chwilę, że istnienie owej Atlantydy nie ulega wątpliwości i zapytajmy się, czy to jest możliwe, aby tak wielka wyspa zniknąć mogła nagle z powierzchni ziemi?

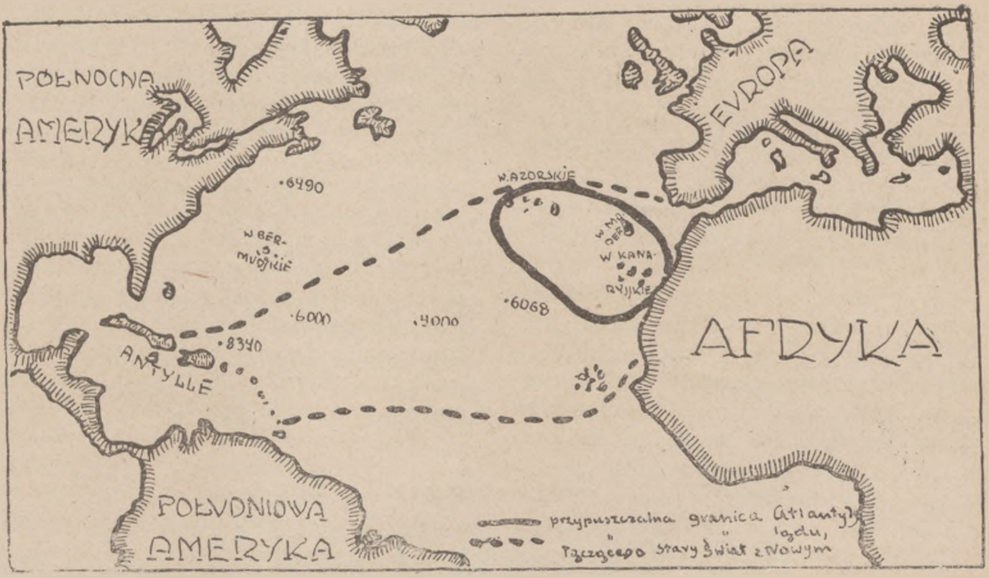
I tu z całą pewnością stwierdzić możemy, iż możliwość taka w pełni istnieje. Dowodem tego szereg, nie-

wielkich zresztą, wysp (np. Julja na morzu Śródziemnem), które wskutek działań wulkanicznych pogrążyły się w wodę, bądź też rozpadły się i znikły.

Możliwość takiej katastrofy, która w zamierzchłej przeszłości miałaby miejsce w związku z Atlantydą, jest tem pewniejsza, iż okolice, w których domyślamy się istnienia niegdyś Atlantydy, należą do terenów, najbardziej działaniom wulkanicznym podległych.

Postarajmy się teraz zebrać te dane, jakie o istnieniu Atlantydy, podają nam takie nauki, jak oceanografja, geografja, geologja, zoologja i t. d. Żadna z tych nauk rozstrzygnąć interesującej nas tu kwestji nie jest w stanie; porównanie jednak rezultatów ich badań tworzy podatny teren dla wniosków i hipotez.

I tak przez oceanografów wyrysowany plan Atlantyku, a właściwie jego dna, mówi, że dno owo nie stanowi bynajmniej równiny, ale przeciwnie — stanowi szereg łańcuchów górskich i dolin o kierunku południkowym, których głębokość waha się od 1000 m. do 8.000 m. (od powierzchni oceanu),—może góry te podwodne stanowiły kiedyś szczyty i wzniesienia Atlantydy?



A jeśli do tego dołączymy fakt, że uczeni, stwierdziwszy bez wątpliwości, iż Sahara i Libijska pustynia były kiedyś bardzo nawodnione i na brak wilgoci bynajmniej uskarżać się nie mogły, twierdzą, iż jedyną przyczyną odwodnienia się tych obszarów mogło być obniżenie się dna morskiego, — czyż wówczas nie stanie się dla nas, jeśli nie prawdopodobnem, to w każdym razie możliwem, jakieś trzęsienie ziemi, czy też inne zaburzenia, skutkiem których obniżyło się dno oceanu Atlantyckiego, pogrążając jednocześnie w fale Atlantydę!

Niektóre szczyty tych gór podwodnych wychylają się z głębin nad powierzchnię, tworząc wyspy: Bermudskie, Maderę, Azorskie, Kanaryjskie i in.; wszystkie są tworem wulkanicznych działań — może tych samych, które zniszczyły Atlantydę?

Geologowie rozprawiają nad faktem, że przy zakładaniu nowego

kabla transoceanicznego wydobyto z trzechtysięcznej przepaści odłamek lawy, który, bez żadnej wątpliwości, zastygł nie w głębi oceanu, ale przy ciśnieniu normalno-atmosferycznem, a zatem nad jego powierzchnią; — a więc na jakiejś wyspie nieistniejącej dziś!

Pewien zoolog stwierdził z całą pewnością, że fauna wysp na oceanie Atlantyckim jest typowo lądowa; dalej zauważył silne podobieństwo, a czasem wręcz identyczność fauny tych wysp z fauną lądów Starego i Nowego Świata; — wniosek jasny, że wyspy te łączyły się kiedyś z Afryką, Ameryką i Europą!

Obok tych podobieństw w przyrodzie, dawno już zauważono znaczne podobieństwa pomiędzy mieszkańcami pierwotnymi lądów: Afrykańskiego i Amerykańskiego.

Wszystkie te szczegóły, zebrane razem, nasuwają myśl, że istniał kiedyś — jak sądzą uczeni, w końcu okresu trzeciorzędnego — ląd, łączący kontynent Afrykańsko - Europejski z Amerykańskim; że ląd ten pod działaniem, czy to siły niszczącej morza, czy też wulkanów, zapadł się; że pozostałością tego właśnie lądu była Atlantyda; że i ona wkońcu uległa temu samemu losowi.

Jedno jeszcze pytanie wymaga odpowiedzi: czy ów ląd Atlantycki, względnie wyspa Atlantyda była zamieszkana przez przedstawicieli rodu ludzkiego, i czy był ktoś z pośród nich świadkiem pogrzebu, jaki Atlantydzie Atlantyk sprawił? Na nieszczęście żadnych dotąd na dnie oceanu nie odnaleziono śladów, któreby pozwalały dać konkretną odpowiedź. Fakt jednakże, że przed paru laty odnaleziono w Anglji szczątki człowieka, który, bez żadnej wątpliwości, należy do okresu trzeciorzędnego, pozwala stwierdzić, że w każdym razie człowiek na Atlantydzie *mógł* istnieć.

To, co dziś o Atlantydzie wiemy, jest niewiele; trudno jednak, wobec szybkiego rozwoju nauk takich, jak geologja i oceanologja, wątpić, że kwestja ta znajdzie kiedyś pełniejsze wyświetlenie.

R.

DO CZEGO DĄŻYĆ?

Wiosna i lato to pora, gdy najwięcej można czasu spędzać na świeżem powietrzu i największą ilość różnych ćwiczeń uprawiać. Trzeba się tylko zastanowić, które ćwiczenia mogą być przez nas wykonywane bez szkody dla zdrowia.

Przedewszystkiem więc musimy przestrzec drużynowych drużyn wilczków przed zbyt wczesnem dopuszczaniem wilczków do zawodów. Gry ruchowe, wycieczki,pływanie, oto ćwiczenia, które przynoszą pożytek. Natomiast piłka nożna, lekka-atletyka lub kolarstwo mogą przynieść tylko szkodę.

Trzeba chłopcom wytłomaczyć, że przedwczesne uprawianie tych sportów zamknie im zupełnie drogę do sukcesów w przyszłości i wszelkiemi siłami dawać im surogat tych emocjujących sportów, zwracając uwagę na ćwiczenia szybkościowe, krótkotrwałe, elastyczne, a unikając wysiłków długotrwałych i nadmiernych. Również należy unikać ćwiczeń bojowych, t. z. takich, gdzie chłopcy walczą ze sobą bezpośrednio, gdyż i tak charakterystyczna dla wielu zapalczywość i czupurność przez to będzie się powiększała ku utrapieniu wychowawców

w domu i szkole. Walczyć twarz w twarz można pozwolić dopiero wówczas, gdy wola człowieka podrastającego będzie już w stanie opanować w razie potrzeby jego temperament.

Można urządzać biegi, ale tylko do 50 mtr., skoki z rozbiegiem, ale nie zachęcać jeszcze do współzawodnictwa.

Grupa następna od 13 do 17 lat może sobie pozwolić na znacznie większą ilość ćwiczeń.

Przedewszystkiem więc można już zacząć lekką-atletykę. Konieczna jest przytem ostrożność. Należy z chłopcami, którzy pragną ćwiczyć, przerabiać ćwiczenia wstępne, lekcje gimnastyki lekko-atletycznej 2 razy w tygodniu. Po takiem przygotowaniu trzeba wypróbować zdolności chłopców i rozpocząć ćwiczenia sportowe zależnie od ich sił i zdolności, nie specjalizując zresztą jeszcze, ale pamiętając, że przyjdzie moment, kiedy specjalizacja będzie konieczna, gdy chęć uzyskiwania sukcesów sportowych zmusi chłopca do wyszukania swej specjalności. Dlatego też należy skrzętnie obserwować ich już zawczasu, by móc ułatwić potem wybór.

Omawiając szczegóły programu lekko-atletycznego, dopuszczalnego dla tego wieku, trzeba podkreślić, że raczej mniej ćwiczyć, niż przesadzić i przemęczyć chłopców.

Z biegów przedewszystkiem krótkie, przyczem dla 13 — 14 lat maximum 60 mtr., dla 15—16 lat—100 — metr.

Co do biegów dłuższych — niema zgody. Część teoretyków wychowania fizycznego kategorycznie je odrzuca, część stawia tylko pewne ograniczenia. Osobiście radziłbym oględność i stanowcze zabronienie biegania chłopcom 13 — 14-letnim więcej ponad 60 mtr., natomiast 15 — 16 letnim pozwoliłbym, z małemi wyjątkami, biegać 300 mtr. na bieżni i 1000 mtr., jako bieg na przełaj.

Skoki z rozpędu: w dal i w zwyż mogą być uprawiane przez całą tę grupę.

Rzuty: 13 — 15 letni mogą sobie pozwolić na pchnięcie 3 kgr. kulą, zaś 15—16 letni na kulę 5 kgr., dysk 1 kgr. i ostrożnie oszczep.

Z innych sportów nauka szermierki, ale jeszcze nie starcia i strzelanie z flowerów dopełniają programu.

Grupa następna od 17 do 20 lat to właśnie dopiero ci chłopcy, którzy istotnie mogą intensywnie pracować sportowo. Największa też ilość sportowców pochodzi z tej grupy, która niemal bez ograniczeń może oddawać się sportom wedle upodobań.

Zaczynając od lekkiej-atletyki, musimy powiedzieć, że powyżej 18 lat można uprawiać cały program atletyczny z wyjątkiem maratonu i może młotu. Dla 17 — 18 letnich przedczesnym będzie bieg na 10.000 mtr. oraz biegi z przeszkodami i płotami.

Drugim sportem, który od lat 17 winien być koniecznie wprowadzony, jest boks.

Dużo możnaby mówić o korzyściach, jakie przynosiły jego uprawianie. Rozwija on harmonijnie muskulaturę i organy całego ciała, wyrabia szybkość i precyzję ruchów, stanowczość decyzji i spostrzegawczość, a przedewszystkiem takie cechy charakteru, jak pewność siebie, odwagę i rycerskość, te kardynalne zalety każdego harcerza.

Boks jest najlepszą szkołą ludzi, na których może liczyć społeczeństwo we wszelkich okolicznościach życia. Nic więc dziwnego, że Niemcy wprowadzili boks jako *obowiązkowy* przedmiot nauczania w szkołach.

Wioślarstwo i żeglarstwo, jako środek lokomocji dla amatorów włóczęgi i pole do popisów dla żądnych sławy, piłka wodna dla pływaków, oto emocje, jakie może dać woda.

Na szosie znaleźć można satysfakcję jadąc na rowerze, lub udając się na tymże bicyfale w dalekie, a szybkie wędrówki. Natomiast skrzętnie należy unikać torów betonowych, które coraz bardziej zamieniają się w widowisko, a sportowców w, zabawiających gawiedź, klounów.

Piłka nożna i rugby, kryjące te same niebezpieczeństwa co i torowe kolarstwo, mogą być raczej rozrywką dla harcerzy, niż przyjętym w programie środkiem w pracy harcerskiej nad polepszeniem fizycznem współczesnego pokolenia. Obydwie te gry cechują wielkie walory pod warunkiem, że ich uprawianie nie stanie się jedynem zajęciem życia, a zdobycie poklasku—jedynym jego celem. Orjentacja, szybkość, zwinność, zmysł zespołowego wysiłku, a w rugby do tego jeszcze twardość i stanowczość w działaniu — oto zalety tych gier.

Naszkicowaliśmy przegląd kolejności czasu wprowadzenia ćwiczeń, teraz postaramy się nakreślić pokrótce system, jaki mamy w pracy sportowej zrealizować.

Dla nas sport ma tylko wówczas jakiś sens, jeśli osiągamy przezeń rozwój zalet ciała i ducha. Sport, jako cel sam w sobie, jest tylko rozrywką, a nam harcerzom chodzi o coś więcej, pragniemy podkreślić jego wychowawcze znaczenie. By to zadanie wypełnić, należy przestrzegać paru zasad.

Program sportowy musi uwzględniać harmonijny rozwój ciała i ducha, a więc rozwijając równomiernie wszystkie mięśnie i organy, jednocześnie musi wywierać dodatni wpływ na charakter.

Jako pewne minimum zapewniające realizowanie tej zasady, proponujemy dla grupy chłopców 17 — 20 lat następujący program: lekka-atletyka, boks, pływanie w lecie, a w zimie uzupełnienie w postaci nart i łyżew.

Oto minimalny program dla drużyny.

Do niego dochodzą gry piłkowe, jako uzupełnienie, a kolarstwo, wioślarstwo i żeglarstwo, jako pożądane środki lokomocji.

Jednak już same tylko trzy wskazane sporty mogą wystarczyć. Lekkaatletyka, boks, pływanie — niech drużynowi dążą do tego, by każdy ich chłopiec uprawiał te trzy kardynalne sporty.

DROBNE WIADOMOŚCI.

Korty tennisowe H.K.S. Varsovji zostaną oddane do użytku członków sekcji tenisowej w pierwszych dniach maja.

---

2 maja odbędzie się w sali techników bal H. K. S. Varsovia.

Tygodnik sportowy „Stadjon" zamierza ofiarować nagrodę wędrowną na wszechpolskie zawody lekko-atletyczne harcerzy.

Zawody lekko-atl. o mistrzostwo Chorągwi Warszawskiej odbędą się w czerwcu, a w lipcu Chorągiew Łódzka organizuje zawody wszechpolskie z okazji swego zlotu.

H. K. S. Varsovia zorganizował sekcję pań, do której zapisało się zgórą 100 druhen. Ćwiczenia rozpoczęły się 15 kwietnia.

Ślub na wodzie odbył się niedawno w Ameryce. Znany pływak szwedzki Arne Borg ożenił się ze znakomitą pływaczką amerykańską panną Norelius, przyczem ślub odbył się w basenie, a pastor, świadkowie i cały orszak ślubny znajdowali się w czasie uroczystości razem z młodą parą w wodzie. Zrobiono z obrządku religijnego widowisko, któremu przyglądało się kilkadziesiąt tysięcy widzów.

Czy obrzędy religijne nie powinny być wyłączone z tych dziedzin, które nagina się do wymagań sportowych widowisk?

„Tis".

DRUHU DRUŻYNOWY!

Od Was i od Waszych chłopców zależy, czy przystąpimy do budowy Związkowej Stanicy Harcerskiej w Warszawie.

Termin Loterji dobiega końca (ciągnienie 25 czerwca), a losów rozsprzedaliśmy zaledwie trzecią część. Wobec znacznych kosztów organizacji tak wielkiego przedsięwzięcia, jego powodzenie jest w wysokim stopniu zagrożone.

Polegam na Was, Druhu, że uczynicie wszystko, co w Waszej mocy, aby rozsprzedać przynajmniej dwa razy tyle losów, ile liczycie chłopców w drużynie. Przy pewnym wysiłku i zwróceniu się do Przyjaciół Harcerstwa jest to zupełnie możliwe.

(—) *St. Sedlaczek,* h.
Wice-Przewodniczący i Naczelnik Głównej Kwatery M.

PIĘKNO PRZYRODY.

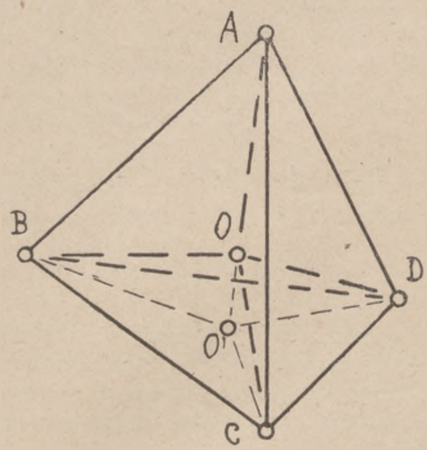
WĘGIEL.

W przyrodzie spotykamy węgiel pod trzema postaciami: węgla bezpostaciowego, grafitu i djamentu. Są to odmiany allotropowe jednego i tego samego pierwiastka, t.zn. pod względem chemicznym te ciała nie różnią się niczem od siebie. Co wobec tego jest przyczyną różnych ich własności fizycznych: barwy, twardości, zdolności załamania światła i t. p. Na podstawie tego, czegośmy się dowiedzieli zeszłym razem, jest dla nas oczywistem, że to zależy od układu atomów, zależy od owej siatki przestrzennej, którą one tworzą. Prawdopodobnie inaczej te same atomy układają się w węglu, inaczej w graficie i jeszcze inaczej w djamencie. Zobaczmyż, jakie wyniki dały doświadczenia poczynione w tym kierunku.

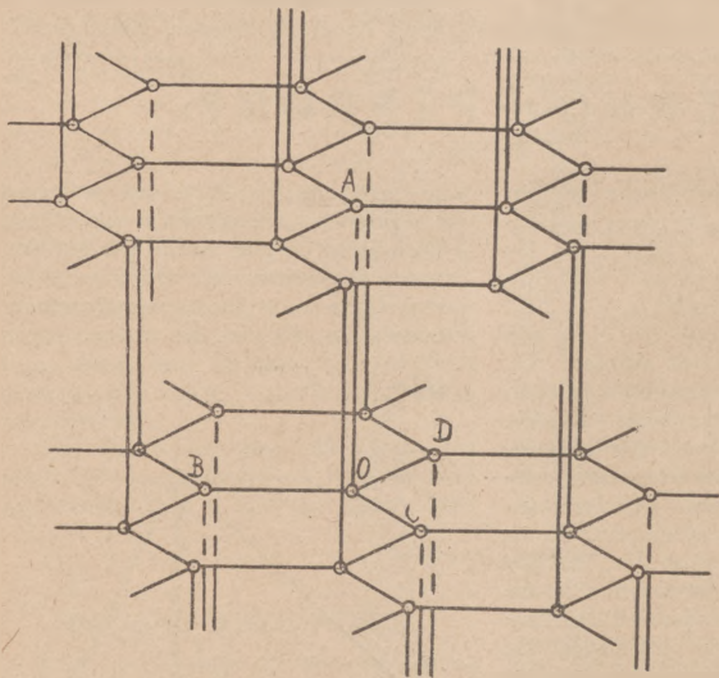
Rys. 1, uwidacznia układ atomów węgla w djamencie. Leżą one w wierzchołkach i w środku umiarowego czworościanu. Każdy atom jest otoczony przez cztery inne. Na naszym szkicu jest to widoczne tylko dla atomu środkowego 0, ale na większym rysunku zobaczylibyśmy to samo dla pozostałych.

Widzimy zatem, że każdy atom węgla związuje ze sobą cztery inne. Czy czasem ten fakt, nie jest nam już znany skądinąd? Prawda, wiemy z chemji, że węgiel jest pierwiastkiem czterowartościowym, ale czy to nie jest przypadkowy zbieg okoliczności? Oczywiście, że nie. Bo czterowartościowość węgla oznacza, że jeden jego atom może utrzymać w związku ze sobą cztery inne atomy, ale czy to będą również atomy węgla, czy atomy innego pierwiastka to dla nas w tej chwili jest kwestją

Rys. 1



drugorzędną. Stąd możemy n. p. wyciągnąć wniosek, że, jeśli w rozpatrywanym przez nas kawałeczku djamentu cztery zewnętrzne atomy węgla A, B, C i D zamienimy przez atomy wodoru, to otrzymamy cząsteczkę metanu CH_4, czyli t.zw. gazu błotnego. Jaki jednak nieoczekiwany związek istnieje pomiędzy najkosztowniejszym na kuli ziemskiej kamieniem, a wydobywającym się z ziemi gazem, który łapany i rozprowadzany rurami w pewnych okolicach naszego zagłębia naftowego prawie za darmo dostarcza okolicznej ludności opału i światła.



Rys. 2.

Aby przejść od djamentu do grafitu, spuścimy środkowy atom **0** na rys. **1** po wysokości czworościanu na jego podstawę do punktu O[1]. Otrzymany w ten sposób układ atomów załączam w nieco szerszym niż poprzednio zakresie na rys. 2. Jak widać atomy węgla układają się płaszczyznami, tworząc w każdej płaszczyźnie sześciokątną siatkę, która wygląda poprostu, jak plaster miodu.

Oczywiście, że mówimy cały czas nie o graficie ołówkowym ale o graficie — minerale. Kto z Czytelników miał ten ostatni kiedykolwiek w ręku, pamięta zapewne jego wyraźnie zaznaczoną łupliwość. Otóż płaszczyzny tej łupliwości są właśnie naszemi płaszczyznami o sześciokątnej siatce atomów. Bo odległości pomiędzy płaszczyznami są większe, aniżeli odległości pomiędzy atomami w poszczególnych płaszczyznach, a zatem odpowiednie siły spójniowe są mniejsze. Kiedy na ciało działają jakieś siły zewnętrzne, naprzykład dłubanie scyzorykiem, to najpierw ulegają zerwaniu te więzy międzycząsteczkowe, które są najsłabsze, a więc w naszym wypadku jedna płaszyzna skupiająca atomy odrywa się od drugiej—grafit łupi się. Łupliwość minerałów tłumaczy się rozkładem atomów zupełnie podobnym do rozpatrzonego.

Co do węgla to nasze przewidywania nie sprawdziły się, nie posiada on takiej odrębnej struktury atomowej. Okazało się bowiem, że czysty węgiel składa się z drobniutkich kryształków grafitu.

Cz. R

CO SŁYCHAĆ w Z. H. P.?

OD REDAKCJI.

W radosne święto rocznicy 3-go Maja życzy Redakcja „Harcerza" wszystkim Druhnom i Druhom i Wszystkim Czytelnikom, aby w ich sercach odżyły i spotęgowały się te uczucia miłości kraju i zgody społecznej, które przyświecały twórcom konstytucji, aby wzrosły, rozwinęły się te niespożyte wartości poczucia wspólnoty z wszystkimi obywatelami Rzeczypospolitej i niezrównanej ofiarności z własnych praw dla pociągnięcia wszystkich stanów do współpracy w państwie.

Ten cel Konstytucji — niech się u nas ziści.

V. WALNY ZJAZD Z. H. P.

17 i 18 b. m. odbywały się we Lwowie obrady Walnego Zjazdu Związku Harcerstwa Polskiego. Przybyło na nie około 150 delegatów i wielu gości.

Do najbardziej podniosłych momentów obrad należały przemówienia delegatów drużyn zagranicznych Niemiec i Czech, którzy stwierdzili, że i tam młodzież harcerska krzewi idee Z.H.P. Następnie referaty: dr. Strumiłły: O duszę harcerstwa, p. W. Czajkowskiej: Służba bliźnim w Harcerstwie i H. Glassa: Metody pracy wychowawczej w drużynie.

W uchwałach Zjazdu na pierwsze miejsce wysunęły się sprawy skarbowe. Uchwalono budżet Naczelnictwa z podniesieniem pogłównego, przyczem upoważniono Naczelnictwo do przekroczenia budżetu. Również wiele uwagi poświęcono sprawom loterji fantowej, którą uchwalono jak najenergiczniej propagować, aby ją w najbliższej przyszłości doprowadzić do pożądanego końca. W sprawach starszego harcerstwa i pracy drużyn męskich i żeńskich obradowały specjalne komisje, których postanowienia, przyjęte przez Zjazd, idą w kierunku nietylko pogłębienia pracy, ale też objęcia nowych terenów.

19 odbyło się posiedzenie Rady Naczelnej, na którem powierzono funkcje: przewodniczącego Z.H.P. p. Romanowi Bnińskiemu z Poznania, wiceprzew.:—St. Sedlaczkowi i M. Wocalewskiej z Warszawy, nie obsadzając narazie trzeciego miejsca wiceprzewodniczącego, sekretarza generaln.—O. Grzymałowskiemu, skarbnika—B. Domosławskiemu, naczelnika Głównej Kwatery Męskiej — St. Sedlaczkowi, a Gł. Kwat. Żeńskiej—M. Uklejskiej. Na Kapelana Związku powołano ks. Bogdańskiego z Włocławka (do zatwierdzenia przez episkopat).

Lwów witał nasz Zjazd ogromnie serdecznie. Zarząd Okręgu Lwowskiego przygotował kwatery. Uniwersytet Jana Kazimierza udzielił swych wspaniałych sal na obrady, a Rada Miejska urządziła dla Zjazdu po jego pracach w pięknych salach ratusza wieczornicę pełną radości i zabawy.

Wśród przemówień przedstawicieli władz, a więc wojewody Garapicha, wiceprezydenta miasta Stahla, Dowódcy O. K. Lwów gen. Malczewskiego i in. szczególnie serdeczne i owiane gorącą troską o rozwój Harcerstwa było przemówienie kuratora Sobińskiego, przedstawiciela Kuratorjum i Ministerstwa W. R. i O. P.

To też cały Zjazd czuł się doskonale w murach starej strażnicy kresowej, a hołd, złożony przez uczestników Zjazdu na cmentarzu obrońców Lwowa, wśród których leżą też harcerze, jeszcze silniej zespolił gości z gospodarzami.

Cały nastrój Zjazdu był nadzwyczaj podniosły. Chodzi teraz o to, aby wskazania i uchwały Zjazdu wprowadzić w czyn.

Zrobić to muszą wszystkie druhny i druhowie ofiarną, serdeczną pracą w swych drużynach i zastępach.

KOMENDA CHORĄGWI TORUŃSKIEJ.

Kom. Chor. Tor. (Pom.) poszukuje na okres wakacyjny (3 tygodnie) 2-3 instruktorów harcerskich (phm.), jako wykładowców na kursie instrukt. nad wybrzeżem morskiem. Warunki podług umowy.

Zgłoszenia przyjmuje Kom. Chor. Tor. Toruń, Podmurna 62.

JAK ZAMIERZAMY SPĘDZIĆ LATO.

Pozwólcie pokrótce opowiedzieć Wam, co „Trzynastka" warszawska zamierza zrobić w czasie tegorocznych wakacyj:

Po ukończeniu roku szkolnego, po ukończeniu szkoły przez szereg maturzystów, których spory zastęp d-na skupia w sobie, po ukończeniu obowiązków zawodowych jedziemy nad jezioro Wigry (Suwalszczyzna), gdzie rozbijamy dwa obozy — starszych harcerzy i gromady „wilcząt". Obóz starszych druhów będzie liczył do 35 uczestników w wieku 17 — 20 lat. Program obozowy obejmie przeważnie prace, związane z zawodami o mistrzostwo Z. H. P.; o tytuł pierwszej d-ny Rzeczypospolitej, bowiem w lipcu odbędzie się ogólny obóz tych drużyn, które zgłosiły się do zawodów o mistrzostwo.

Obóz naszych najmłodszych w liczbie 20 — 25, prowadzony przez starszych harcerzy d-ny, będzie odbywał się w pobliżu obozu drużyny również pod namiotami. Po pobycie nad Wigrami młodsi wracają do domów, a starsi w liczbie 12 — udają się zagranicę, celem zaznajomienia się z pracą obcych narodów, z ich obyczajami i krajem. Wycieczka zagraniczna będzie trwać 6 tygodni, począwszy od połowy lipca. Koszt wycieczki 300 zł. Marszruta następująca: Londyn (zwiedzenie wszechświatowej wystawy w Wembley), Paryż, Orlean, Ljon, Awinjon, Marsylja, Genewa, Wenecja, Padwa, Wiedeń i do domu.

Już otrzymaliśmy odpowiedź z Anglji, że pobyt nasz tam będzie bezpłatny, oraz, że zniżka kolejowa 50%-towa będzie również przyznana. Wogóle te państwa, a raczej organizacje skautowe, do których zwracaliśmy się, b. przychylnie i obiecująco odpowiedziały.

Zasługa to nietylko nasza, ale w głównej mierze druha Tadeusza Sopoćki, kierownika działu zagranicznego, który zechciał nam wiele dopomóc.

W ten sposób za niedużą sumę, lecz przy należytej pracy przedobozowej, spędzimy b. produktywnie i przyjemnie lato.

Pomoc materjalną zapewnia nam K. P. H. przy — W. D. H. pod niezmordowanem kierownictwem pani Radzimińskiej.

Druhowie i Druhny! Czas niknie. Lato tuż za progiem. Należy już teraz systematycznie działać, ażeby te miesiące były należycie wykorzystane, bo, obóz drużyny to czynnik zapewniający powodzenie w pracy drużyny.

Do pracy — więc — planowej, twórczej!.. A po obozie trzeba pamiętać o naszem piśmie, niech „Harcerz" będzie odzwierciedleniem naszych rozkoszy i trudów obozowych.

H. Z.
„Trzynastak" z Warszawy.

GRUDZIĄDZ.

Hufiec grudziądzki bierze udział w „Wystawie Pomorskiej", która odbędzie się w Grudziądzu od dnia 26.VI. do dnia 5.VII. b. r. Ze względu na to, że na wystawie będzie duży zjazd z całej Polski i zagranicy byłoby bardzo pożądane, aby w celu propagandy można wystawić tablice graficzne ilustrujące rozwój naszej organizacji w Polsce, materjały prac harcerskich, produkty warsztatów i t. p. Drużyna więc, która zechce wzbogacić dział harcerski wystawy, winna porozumieć się z Naczelnictwem i zawiadomić Komendę hufca w Grudziądzu, adresując do por. Smoleńskiego 64 p. p.

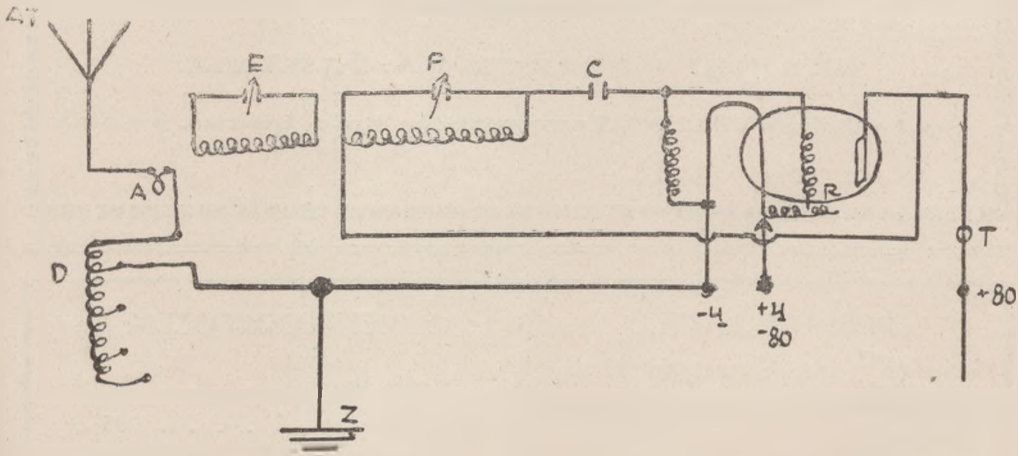
RADJO i JEGO ZASTOSOWANIE.

Poprzednio podawany był schemat i sposób zrobienia detektorowego aparatu dla harcerzy.

Obecnie podam bardzo dobry i nieskomplikowany typ jednolampowego aparatu, przy pomocy którego możemy słuchać koncertów z całej Europy.

AT — antena, Z — ziemia (uziemnienie), A — zwójnica z grubego drutu na walcu o średnicy 8 cm. zwój. D — cewka na walcu tekturowym o średnicy 8 cm.: nawijamy 45 zwojów, drut izolowany jedną warstwą bawełny. Odnogi robią się od zwojów 3-go, 7, 13, 21, 31, 45.

C, B — zwojnice, wykonane na wspólnym cylindrze (średnica 8 cm.) Drutu do tego używamy 10/10 mm., izolowanego, jak wyżej. Zwojnica B zawiera 65 zwojów; zwójnica C—34 zwoje. Cewka D — musi być tak ustawiona, aby oś jej była prostopadłą do osi cewki BC, a odległość pomiędzy niemi musi wynosić nie mniej, jak 15 cm. Kondensatory obrotowe E i F mają pojemność maksymalną 0,025 pF każdy, opór— O — wynosi od 3 — do 4 megomów. Reostat żarzenia pożądany z precyzerem, dającym możność bardzo małych zmian jego oporu.



T — słuchawki, najlepiej użyć kask o oporze 4000 cm.

Schemat ten jest bardzo prosty i wygodny. Bliższych wyjaśnień udzielić mogę na żądanie zainteresowanych Druhów.

Niech takowi napiszą do „Trzynastki" Warszawskiej: pl. 3 Krzyży № 8, izba, dla L. M.

L. M.
„Trzynastak" z Warszawy.

PRENUMERATA:

Rocznie	wraz z przesyłką	12 zł.
Półrocznie	„ „ „	6 zł.
Kwartalnie	„ „ „	3 „
Miesięcznie	„ „ „	1 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Za całą stronę.	100 zł.
za pół strony	55 „
za ćwierć strony	30 „

Numer pojedyńczy 50 groszy.

Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. № 10,020 albo przekazem pocztowym do administracji „Harcerza" w Warszawie, ul. Traugutta № 2.

Adres redakcji: Warszawa, Al. Ujazdowska 37 m. 12.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor: *T.Uhma.*

Druk. p. f. „LECH", Sp. z o. o., Koszykowa 33, Tel. 403-66.